

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[1]



Nowy Rok Stefcia i Jadzi.

NOWOROCZNE ŻYCZENIE,

DLA CZYTELNIKÓW I CZYTELNICZEK

„Wieczorów Rodzinnych“.

Znów rok dla nas świta nowy,
Więc was życzeń witam słowy,
Niw ojczystych cudne kwiatki,
Ukochane nasze dziatki!

Wam się wiosną przyszłość śmieje,
Wszędzie szczęścia śnią nadzieje;
W wonne róże wy stroicie
Świat uroczy — i widzicie
Szczęścia szereg nieskończony,
Z samych jasnych dni złożony...

Dziatki nasze ukochane!
Niechże was te sny świetlane
Bawią długo bez przeszkody,
Niech trwa długo wiek wasz młody!...

A gdy po szczęśliwej wiosnie,
Z kwiatu życia owoc wzrośnie,
Chcę was widzieć, nasze syny,
Gdy zasługi wam wawrzyny
Kraj na młode włoży skronie;
Chcę niech zapał, męstwo płonie
W jasnym oku!... aż się w duszy
Wzniosłych pragnień fala wzruszy.

A wy dziewczynki, dziewoje,
Ja i dla was także roję,
O chwale i o wielkości,
Nie téj, co idzie z próżności,
Lecz téj, co swe źródło bierze
W poświęceniu i ofierze

Chcę, gwiazdkami byście byli,
Na rodzinnym niebie lśniły,
I prababek idąc torem,
Same też stały się wzorem,
Który będzie czić potomność.

Niechaj wiara, cnota, skromność,
Naksztalt jasnej niebios tęczy,
Dusze wasze i skroń wieńczy,
Byście w niej z Aniołów gronem,
Przed Boga stanęły tronem.

Teofila Talko.

NOWY ROK.

Stefcia i Jadzi.

Było to w dzień Nowego Roku. Stefanek i Jadzia wyszli na przechadzkę po obiedzie w towarzystwie nauczycielki. Na zakęcie ulicy stał starzec o kuli; nie wyciągał on ręki po jałmużnę, ale dzieci, wzruszone widokiem jego kalectwa i ubogiej odzieży, same pośpieszyły z datkiem, który starzec przyjął, szepcząc półgłosem błogosławieństwo.

— Czy uważałaś, Jadziu — rzekł Stefanek, gdy odeszli o parę kroków dalej — jaki ten dziadek jest smutny. Tak ciężko westchnął, chowając naszą jałmużnę, zdaje mi się nawet, że łzę otarł rękawem.

— I ja to spostrzegłam — odrzekła siostra — i mnie też przykro się zrobiło, patrząc na niego.

— Wiesz co, Jadziu, ja wrócę i dam mu jeszcze dwadzieścia groszy; może on bardzo głodny...

— A mnie się zdaje, że on musi mieć jakieś zmartwienie i mam wielką ochotę go zapytać, co mu się stało. Gdyby panna Konstancja pozwoliła...

Nauczycielka słyszała rozmowę dzieci, idąc tuż za nimi.

— Czemużbym pozwolić nie miała — odezwała się łagodnie — ten starzec ma bardzo miłą powierzchowność; wróćmy i zapytajmy, co mu jest, a może potrafimy na to poradzić, jeśli ma w rzeczy samej jakiś smutek.

I wszystko troje zbliżyli się do dziadka, a Jadzia, starsza i śmielsza od braciszka, zapytała słodkim swoim głosem:

— Co wam jest, dziadku? Czyście nie chorzy, a może macie jakie zmartwienie? Mybyśmy tak szczerze chcieli wam ulgę przynieść.

— O moja dobra panienczko — rzekł starzec drżącym od wzruszenia głosem — jakież ty serduшко masz złote, żeś smutek starca odgadła. Ciężko mi, bardzo ciężko na duszy, ale na to już niema rady, woli bożej poddać się trzeba.

— Ale powiedzcież, staruszk, co wam dolega? — rzekła panna Konstancja.

— Oj, czy to jedno dolega, panięta moje złote. Ot najpierw przykro i wstyd staremu, że o żebrakom chlebie chodzi, bo do tego nie nawykł. Sługiwało się dawniej wojskowo, potem losy zagnały w dalekie strony, bywało się na wozie i pod wozem, a zawsze sobie człek jakoś radził, pracował za kawałek chleba, byle z głodu nie zginać. Teraz



mi się sposobność nadarzyła powrócić w rodzinne strony; zdążyłem do swojej wioski, gdzie mam córkę zamężną, a byłem się tylko do niej dobił, przytulił mnie i będzie pomoc ze mnie miała, bo ja chleba darmo jeść nie chcę, nawet u rodzonych dzieci. Cóż kiedy zaniemogłem po drodze; odwieźli mnie tu do Warszawy, do szpitala, przeleżałem kilka tygodni, a tymczasem i mrozy wzięły; ja kożuch stary sprzedałem, bo myślałem, że mi jeszcze nie będzie potrzebny, a grosza brakło na drogę, nie mam teraz w co się odziać i nie wiem, jak się dostanę do mojej Basi. Ona nieboga także nie opływa w dostatki, trudnoby jej było przysłać mi pieniędzy. Wszystko to jeszcze nic, jakoś się dowlokę i o żebranie, a może i mrozy zelżą; ale dziś tak mi się załóżnie zrobiło na sercu, stojąc tu na tych pustych miejskich ulicach. Boć to ja na Święta miałem być pomiędzy swoimi, a mam ci i wnucząt dwoje, jak oto, nieprzymierzając, panicz i panienska. Oni tam mnie wyglądają, bo pocziwa Basia opowiada im o dziadusiu; a zawsze regularnie dwa razy do roku donosiła mi o swoim zdrowiu i dziecku, gdy się na miejscu osiedlił i adres jej swój posłałem. Mój Boże! tyle lat człek był sam jeden na świecie, nie miał do kogo słowa przemówić, teraz ptakiem radby wylecieć, żeby się dostać do swoich, a tu niemoc na miejscu trzyma.

I domawiając tych słów, starzec znów łyż otarł rękawem. Dzieci spojrzały wymownie na nauczycielkę, ona widocznie zrozumiała to wejrzenie, gdyż uśmiechnęła się i głową skinęła na znak zezwolenia.

— Dziadku — rzekła Jadzia — nasze mieszkanie ztąd niedaleko, chodźcie z nami, posiedziecie w ciepłym pokoju, pogadacie z nami o córce i wnuczętach, a może rodzice obmyślą jaki sposób, abyście się mogli do nich dostać prędzej.

— O, chodźcie, dziadku, chodźcie — dodał Stefanek.

— Ależ, panienczko moja miła, paniczku kochany, czyż tatko i mama nie będą się na was gniewali, gdy wy starego żebraka przyprowadzicie do domu?

— O nie, dziadku — zawołały dzieci jednogłośnie, a Jadzia dodała: — Nasi rodzice nie rozniewają się o to; my powiemy zaraz, że wy nie jesteście zwyczajnym żebrakiem, że wam smutno bardzo stać samemu na ulicy w dzień Nowego roku, kiedy każdy wesoło spędza Święta pośród rodziny.

Dobre dzieci zabrały z sobą biednego staruszka i wprowadziły do jadalnego pokoju, gdzie zastali obojga rodziców. Państwo Wilsy byli bardzo miłośni, chętnie więc pozwolili na to, aby kaleka wypoczął i posilił się u nich, zaczęli też sami rozpytywać się o różne koleje, jakie w dawniej-

szem życiu przebywał, o wioskę, gdzie córka jego mieszkała, a starcowi ta rozmowa, tak życzliwa i poufała, więcej widocznie przynosiła pociechy, niżli smaczne jadlo, którym go częstowano.

— Niechże wam Bóg miłosierny stokrotnie nagrodzi — rzekł starzec powstając — teraz mi trochę raźniej, żem się wygadał, aż mi sił przybyło i zdaje mi się, że zaszedłbym na koniec świata. Niech wam Pan Jezus zapłaci i Matka Jego Najświętsza — powtarzał, zabierając się do odejścia, a pani Wilska wsunęła mu w rękę jakiś datek.

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł pułkownik Wilski, starszy brat gospodarza domu. Nastąpiły serdeczne powitania, starzec posunął się do drzwi i z dziwnym wzruszeniem wpatrywał się w nowo przybyłego. Zwróciło to uwagę pułkownika, spojrzał baczniej na starca i nagle zawołał:

— Czy mnie oczy nie mylą? ale nie, o nie, jażbym cię nie miał poznać, wierny towarzyszu dobrej i złej doli, pocziwy, zacny Jakóbie; jakże się cieśz, że cię widzę przy życiu. A toż rozeszła się była wieść, żeś zginął pod Ostrołęką, i nie spodziewałem się spotkać cię na tym świecie. Ale czyż to się godzi nie dać mi znać o sobie, zapomnieć o starym druhu?

— Ach, panie pułkowniku, czyż ja się spodziewałem dożyć tego spotkania, po tylu latach! Byłem ciężko raniony, ale się wylizałem przy pomocy bożej, a pana pułkownika i dobroci jego dla mnie nie zapomniałem broń Boże; ale i ja także nie byłem pewny, czy pan jeszcze żyje i nie wiedziałem, gdzie pan mieszka.

— Moi kochani — rzekł pułkownik, zwracając się do brata i jego rodziny — ten zacny Jakób uratował mi życie, własną piersią zasłaniając przed kulą nieprzyjacielską. Przez długie lata walczyliśmy obok siebie, aż w końcu losy wojenne nas rozdzieliły. Byłem pewny, że zginął, jakżem szczęśliwy widząc go przy życiu. Teraz, stary pocziwcze, śmierć nas już tylko rozłączy.

Domyślacie się zapewne, że Jakób nie odszedł dnia tego. Przez cały wieczór dwaj starzy towarzysze broni rozmawiali przy kominku o dawnych dziejach. Biedny kaleka był rozpromieniony i szczęśliwy. Gdy Jadzia zbliżyła się do niego, podając mu szklanekę herbaty, a Stefcio przyskoczył, niosąc bułeczkę z masłem, staruszek z rozrzewnieniem spojrzał na jedno i drugie i rzekł:

— O, jakiż Bóg na mnie łaskaw! Aniołów swoich zesłał na drogę moję! Czy ja się spodziewałem, włócząc się dziś rano po ulicach, smutny i opuszczony, że nim słońce zajdzie, takie szczęście spadnie na mnie? A gdyby nie wy, panięta kochane, nigdybym był nie spotkał mego pułkownika, bo na ulicy pewnieby mnie nie poznał, ani

ja jego. Inne dzieci, choćby i litościwe, obdarzyłyby były kalekę jałmużną i nie troszczyły się już potem o niego. A wy odgadliście mój frasunek i koniecznie chcieliście mię pocieszyć.

— Pamiętajcie zawsze, moje dzieci — odezwała się pani Wilska, — że miłosierdzie prawdziwe nie polega jedynie na dawaniu jałmużny. Nieraz słowem życzliwem, współczuciem, więcej zrobić można dobrego, niżli hojnym datkiem. *Milujcie jedni drugich*, to wielkie przykazanie wszystkie inne zawiera w sobie i zawsze jest najlepszą wskazówką postępowania. Gdy chcemy skutecznie wspomóc ubogich, powinniśmy przedewszystkiem ich miłować i myśleć o tém, ażeby poznać i wyrozumieć ich potrzeby, wejść w ich położenie, ufnąć ich pozyskać.

Jakób odjechał nazajutrz do córki furmanką najętą przez pułkownika. Wkrótce jednak miał powrócić, gdyż pułkownik chciał koniecznie, aby zamieszkał w jego dobrach, w pięknym dworku, który mu dawał na własność. Wiedząc jednak, że dostatki i wygody nie zdołałyby mu wynagrodzić oddalenia od ukochanej Basi i wnucząt, obiecał dać zięciowi jego miejsce leśniczego w tój samej wiosce, i starzec uszczęśliwiony śpieszył z tą dobrą wieścią do dzieci.

WIEZIEN KRÓLA AUGUSTA,

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW WYNAŁAZKÓW.

Noc była piękna, pogodna, księżyc w pełni wypłynął na szafirowe sklepienie niebios i łagodnym blaskiem oświecił malownicze wybrzeża Elby. Widać było jak na dłoni pępne mury i groźne baszty warowni Königsteinu, spiętrzonej na wyniosłej skale; dokoła panowała cisza, tylko kiedy niekiedy odzywały się jednostajne nawoływania straży. W kraju teraz nie słychać o wojnie, król August Mocny bawi się i świetne ucztę wyprawia w stolicy swojej, w ulubioném Dreźnie, lecz w Königsteinie zawsze stoi silna załoga wojskowa, zamek dzień i noc pilnie jest strzeżony, gdyż w murach jego przebywa mnóstwo więźniów, którzy ściągęli na siebie niełaskę monarszą.

Promienie księżyca przeglądają się w spokojnych nurtach rzeki, migocą po krawędziach skał nadbrzeżnych, fantastyczne nadając im kształty, ale w podwórzu zamkowym ciemniej daleko niż w dolinie Elby, gdyż wysokie mury, baszty i strzelnice, ponure cienie rzucają dokoła.

— Wer da! — krzyknął nagle żołnierz, stoją-

cy na warcie, przy jednej z bram wewnętrznych. Usłyszał on szmer lekki i dojrzał cień ludzkiej postaci, przesuwaną się o kilka kroków od niego.

— To ja, to ja, stryju, nie róbcieź takiego hałasu — odezwał się głos dźwięczny i młody.

— Ach, to ty Walterze; ale po co u licha włóczysz się o północy, zamiast spać spokojnie, jak wszyscy ludzie uczciwi o tój porze czynią.

— Ktośby pomyślał, że stryjaszek nie należy do uczciwych ludzi — odrzekł żartobliwie Walter.

— Ba! gdyby nie ta psia służba... ale cóż znów ciebie mogło wypędzić z łóżka o tój późnej godzinie. A toż za chwilę pewnie i kur zapieje na północ.

— Właśnie też dla tego tu jestem, stryjaszku. Za pięć minut północ wybije, a mam bardzo ważną sprawę do spełnienia o samej północy.

— A! rozumiem; na wieki zapomniałem, że ty tam teraz jesteś na posługach tego czarownika. Boże odpuść, nie wiem doprawdy, co też królowi przyszło do głowy, żeby go tu zamykać; jeszcze nieszczęście jakie sprowadzi na zamek i na nas tym piekielnym swoim płomieniem. Ot i teraz, o, patrz, patrz, co to za iskry latają! Jeszcze dziś przynajmniej piękna pogoda, ale wczoraj, jak zaczęły się chmury zbierać i zagrzmiało, byłem pewny, że grom uderzy w ten przeklęty komin.

W rzeczy samej, wśród ciemności, panujących w całym zamku, w jednem tylko oknie błyskało światło dziwne, jaskrawe, migotliwe; czasami blade nagle, zdawało się gasnąć, to znów płomień czerwony wybuchał gwałtownie, mienił się w jasność olśniewającą białości, potem przygasał powoli, aby po chwili rozpaść się na nowo.

— Mój Boże — rzekł Walter, tonem politowania — jak też to ludzie nieoświeceni dziwne o wszystkiem mają wyobrażenie.

— Nieoświeceni! — powtórzył stary żołnierz z oburzeniem — patrzcie, jaki mądry i oświecony. Smarkacz jakiś, rozumu mię będzie uczył. A toż ja starszy jestem od twojego ojca, wiesz ty o tém?

— Nie gniewajcie się, stryju — odrzekł młodzieniec — nie przeczę, że w innych sprawach możecie mieć daleko więcej doświadczenia i mądrości odemnie, ale co do wielkiego dzieła, które mistrz Böttger prowadzi, a do którego i ja, nie chwając się, rękę przykładam... ach, jak tu ciemno na tém podwórzu, gdzie ja tu wezmę pięknych, czystych promieni księżyca, kiedy wszędzie cień pada od murów. Gdyby to można było wydostać się z zamku, ale o tém niema co myśleć.

— Jeszcze czego! a któżby to regulamin wojskowy łamał dla tych waszych czarnoksięzkich praktyk. O północy z zamku wychodzić, patrzcie go!

— Przecież znalazłem dobre miejsce — odezwał się Walter, nie zważając na gderanie starego. — Tak, tak, tu będzie doskonale; promienie księżycy ogarnęły cały tygiel i odbijają się w cieczy... o, jak cudnie błyszczą!

— Tfu, czy to nie wstyd, żeby chrześcijanin bawił się takimi rzeczami — mruczał stary żołnierz, odwracając oczy od miejsca, gdzie chłopak ustawiał starannie w świetle księżycowem niewielki tygielek, do połowy cieczą napełniony.

— Stryju kochan — mówił Walter — dajcież się przekonać, toż wcale nie są żadne czary, to jest nauka. I ja także z początku, gdy mnie oddano na posługi do mistrza Böttgera, obawiałem się trochę jego tygli i tych różnych dziwnych naczyń szklanych i faszeczek, ale teraz, kiedy mi to wszystko wytłomaczył, uszczęśliwiony jestem, bo jeśli się i ja także wyuczę tej sztuki... O, stryju, pomyślcie tylko, toż ja będę mógł więcej złota sobie usmażyć, niż ciotka kartofli ugotuje, a gdy posiędę takie ogromne bogactwa, to i o was nie zapomnę.

— Już ja ci dziękuję za twoje bogactwa. Nigdybym nie dotknął takiego złota usmażonego w rondelku. Wierzaj mi, chłopcze, pewniejsze zawsze to, co człek uczciwą pracą zarobi.

— Dajcie pokój, stryju; poco pracować i molić się, skoro można łatwym sposobem, bez żadnego trudu, wyrabiać sobie ogromne stopy złota z miedzi, z żelaza i innych podłych kruszców.

— A to czemuż mistrz Böttger raz już królowi nie dogodzi i nie zrobi mu trochę złota, skoro tę sztukę posiada? To dziwny upór doprawdy; a toż wiadomo, że z Königsteinu mało kto powraca i jeżeli Jego Królewska Mość zapowiedział mistrzowi, że go nie wypuści z zamku, póki mu złota nie sporządzi, to z pewnością nie wyjdzie stąd żywo, póki woli monarszej nie spełni.

— Ej, bo to widzicie, stryju, wszyscy mądrzy ludzie, co złoto robili, a nie mało ich było na świecie, tacy byli strasznie zazdrośni, że nikomu nie chcieli wykryć swojej tajemnicy. Mistrz Böttger wie bardzo wiele, o! bardzo wiele, ale nie wie jeszcze wszystkiego. Jest mnóstwo drobnych przepisów, które świecie zachować należy przy wykonaniu wielkiego dzieła; jeśli się cośkolwiek przepomni lub zaniedba, wszystko przepadło. A najgorsza sprawa z tyglami, bo wszystkie pękają od tego strasznego ognia. Oto i wczoraj naprzykład mieliśmy wielkie zmartwienie. Tak nam się wybornie wszystko udawało, jak nigdy; nawet obłoczki białej pary, unoszące się ponad ogniskiem, miały kształty przepisane, mistrz był uszczęśliwiony, aż tu trzask! tygiel rozerwał się na dwoje i szalona ciecz złowrogo zasyczała, rozlewając się

dokoła. Ach, co to za nieszczęście! Już dziś nie zawodnie mielibyśmy parę brył złota i Jego Królewska Mość dozwoliłby mistrzowi wyjść z więzienia. Ale ja tu się zagadałem, a północ już dawno minęła, ciecz skąpała się dostatecznie w promieniach księżycowych, trzeba śpieszyć do mistrza.

I domawiając tych słów, młodzieniec zabrał swój tygiel i trzymając go z największą ostrożnością, znikł w tych samych drzwiach, z których wyszedł był przedtem.

— Już niech tam sobie co chce mówi mój mądry synowiec — mruczał sam do siebie stary żołnierz — nigdy ja nie uwierzę w taką naukę, co może próżniaków wzbogacać, a to złoto w tyglach wysmażone, wszystko mi się wydaje, że to jakaś nieczysta sprawa — i zaczął się przechadzać wolnym, miarowym krokiem.

Zanim podażymy za Walterem, musimy wprzód wyjaśnić wam, czytelnicy, jakim sposobem Böttger, uwielbiony jego mistrz, dostał się do Königsteinu i co tam porabiał. Nieraz zapewne o uszy wasze obila się nazwa: *alchemia*. Odejmcie pierwszą zgłoskę *al*, a pozostanie chemia, nauka nowożytna, która także różnych czarodziejskich przemian dokonywa, nie wyrabia wprawdzie złota w bryłach, ale daleko pewniejszym sposobem zdobywa bogactwa. Chemicy dzisiejsi smażą naprzykład w swych tyglach różne substancje czarne, brzydkie, cuchnące i otrzymują z nich prześliczne farby purpurowe, różowe, fioletowe, lazurkowe. Kiedyś inną razą obszerniej wam o tém opowiemy. W wiekach średnich ludzie uczeni, którzy śledzili własności i przemiany ciał, przybierali nazwę alchemików. Smażyli oni i przesmażali zawzięcie rozmaite rzeczy, ale mieli mnóstwo dziwacznych wyobrażeń i przesądów niezgodnych z nauką.

Początek alchemii sięga bardzo głębokiej starożytności. Jeszcze kapłani egipscy się nią trudnili i ukrywali się z tą swoją umiętnością przed ludem. Od Egipcyan uczyli się mędrcy greccy i także, dla wzbudzenia większego poszanowania, okrywali się tajemnicą, a ponieważ zwykle o każdej rzeczy nie znają ludzie sobie najdziwniejsze robią wyobrażenia, więc i o tej nauce różne bajki chodziły po świecie i w starożytnych czasach i później w wiekach średnich. Wydawała się ona nadiudzką jakąś mądrością i utrzymywano, że to bożek Merkury przyniósł ją na ziemię. Bożek ten u Greków zwany był Hermesem, stąd i nauka jego otrzymała nazwę nauki *hermetycznej*. To wam niezawodnie przypominało hermetyczne drzwiczki u naszych pieców, i w rzeczy samej, dla tego je tak nazwano, że się tak szczelnie zamykają, jak drzwi pracowni tych starożytnych mędrków, co swęj umiętności zazdrośnie strzegli przed ludem.

W pierwszych wiekach ery naszej miasto Aleksandrya w Egipcie, przez Aleksandra Wielkiego założone, słynęło z nauk i umiejętności; Arabowie, wyznawcy Mahometa, zdobywszy to miasto, przyswoili sobie w części wszystkie te nauki, a potem je do Europy przenieśli, gdy opanowali półwysep Pirenejski. Oni to starożytną hermetyczną naukę przewalili alchemią i pierwsi wpadli na pomysł, ażeby wyrabiać złoto z innych, mniej kosztownych kruszców. W wiekach średnich we wszystkich krajach europejskich mnóstwo było alchemików, którzy smażyli i przesmażali różne mieszaniny, a tak zawzięcie przytęp dmuchali na ogień za pomocą sztucznej dmuchawki, że ich dmuchaczami przezywano.

Otóż to takim alchemikiem był Böttger, żyjący za czasów króla Augusta Mocnego. Miał on wiele próżności, chciał uchodzić za mędrszego, niż był w rzeczywistości i przechwalał się, że mu się udało zrobić złoto. Böttger mieszkał w Berlinie, sława jego doszła do uszu króla pruskiego, który był niezmiernie chciwy, wydał więc rozkaz schwytania tego umiejętnego człowieka, chcąc go zmusić, ażeby skarbu królewski zaopatrzył w złoto. Böttger dowiedział się o tęp w porę i zdołał umknąć do Saksonii, ale trafił nieborak z deszczu pod rynnę. Król August także lubił złoto, a gdy mu doniesiono, że w państwie jego przebywa taki uczony alchemik, kazał go natychmiast sprowadzić na dwór, obchodził się z nim bardzo łaskawie, obiecywał obsypać go łaskami i zaszczytami, byle mu tylko usmażył trochę szacownego kruszczu.

Biedny Böttger ciężko był ukarany za swoją próżność i samochwalstwo; pomimo najlepszych chęci nie mógł dogodzić królowi, a chociaż już teraz szczerze się do swęj niewiedomości przyznawał, wierzyć mu nie chciano. Próbował więc znowu uciekać, ale mu się nie udało. Schwytano go i król obrażony kazał go osadzić w Königsteinie i zapowiedział, że póty nie odzyska swobody, póki nie usmaży złota. Wyobrażacie sobie, w jakim kłopotcie był nasz Böttger. Ale jakkolwiek wiedział, że złota dotąd nie zrobił, wierzył on, jak wszyscy współcześni, że je zrobić można i z wielką gorliwością zabrał się do roboty, bo myślał sobie: A nuż mi się uda naprawdę? i królowi dogodzę i sam się wzbogacę.

Gdy młody Walter wszedł do pracowni mistrza, Böttger siedział zadumany przy swoim ognisku i spoglądał na ciecz stygnącą w tyglu.

Był to człowiek młody, pięknej i okazałej postawy, ubrany starannie, według ówczesnej mody. Na głowie miał wielką perukę ufryzowaną i upudrowaną, u rękawów kosztowne koronki, które

odwinał nieco, aby mu przy robocie nie zawadzały.

— Cóż, czy spełniłeś wszystko, com ci rozkazał? — zapytał Böttger chłopaka.

— Co do joty, mistrzu. Trudno było co prawda znaleźć na tęp ciasnym podwórzu zamkowym miejsce dobrze oświetlone, ale jednak je znalazłem i mieszanina przez kilka minut przed i po północy kąpała się w promieniach księżyca.

— To dobrze — rzekł Böttger krótko, wziął tygiel z rąk Waltera i wlał ciecz w nim zawartą do drugiego tygla, świeżo odstawionego od ognia. Potęp założył ręce na piersiach i znów się głęboko zadumał. Walter stał w milczeniu, nie śmiał mu przerywać. Nareszcie Böttger ocknął się z zamyślenia, wziął w rękę małą złotą łopatkę, nabrał na nią ostrożnie odrobinę zgęstniałej cieczy i zaczął się jęj pilnie przypatrywać przy świetle świecy woskowej.

— A to kara boska — rzekł z westchnieniem — i teraz jeszcze nic z tego nie będzie, a niezawodnie tygiel temu winien. Bałem się rozdmuchać ogień należycie, żeby znowu się nie roztrzaskał. Ach, gdybym ja mógł znaleźć jakiś materiał mocniejszy na te nieszczęsne tygle, żeby mi na ogniu nie pękały!

(D. c. n.).

ZAŁĘSKA

WULKANY I TRZĘSIENIA ZIEMI

pogadanka naukowa.

W starożytnęj Grecyi żył sławny mędrzec, nazwiskiem Sokrates, o którym i wy słyszeliście zapewne, czytelnicy młodzi; mawiał on często do swoich uczniów: „Wielu jest ludzi, którzy sądzą, że wszystko na świecie poznali; ja przynajmniej tę wyższość mam nad nimi, że nie wyobrażam sobie, abym wiedział to, czego nie wiem“. Niejeden nowożytny uczony i dziś powtarza to zdanie starożytnego mędrca. I tak naprzykład, Niemiec Virchow, zaliczony do najznakomitszych uczonych współczesnych, powiedział raz na publicznym odczytanie: „Prawdziwy uczony tęp się wyróżnia od pół-uczonego, że dokładnie czuje nieświadomość swoją“. Inny, niemniej znakomity Francuz, Klaudyusz Bernard, zmarły przed kilku laty, napisał w jednęm ze swoich dzieł naukowych: „Wielka to korzyść dla nauki i pożytek dla uczonego, umieć dokładnie rozróżnić to, co się wie, od tego, czego się nie wie“. Złote to są słowa, młodzi czytelnicy, i dobrze uczynicie, zapisując je sobie wczasu w pamięci.

Może niektórzy z was, przeczytawszy tytuł téj pogadanki, zawołają niechętnie: Ej, cóż tam znów ciekawego można powiedzieć o wulkanach? to przedmiot taki znany, taki oklepny. My wam na to odpowiemy, że nie wszystko, o czém się wiele słyszało, jest dobrze znane, a najlepszy dowód macie na wulkanach, bo właśnie na wstępie wam powiemy, że dotychczas uczeni ludzie darmo sobie łamią głowy nad wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska. Nikt nie wie, z kąd się bierze ten straszny ogień podziemny, co najtwardsze skały topi i zmienia w potoki lawy.

Toż samo powiedzieć można i o trzęsieniach ziemi, które często przytrafiają się w sąsiedztwie wulkanów i poprzedzają wybuchy, lub im towarzyszą, a wtenczas pochodzą z tych samych przyczyn. Ale bywają inne trzęsienia ziemi, nie mające żadnej styczności z wulkanami, gdyż występują w okolicach, gdzie niema wcale wybuchów podobnych i w takiej porze, kiedy nawet i oddalone wulkany są zupełnie spokojne. Wtenczas są już prawdziwą łamigłówką dla uczonych. A teraz znów może zapytacie, poco się rozpisywać o tych zjawiskach, skoro ich wytłómaczyć niepodobna? Ale my i na to mamy odpowiedź gotową: oto chcemy, abyście zrozumieli dokładnie, na przykładach, jak wielką słusność miał stary Sokrates i nowożytni uczeni, o których wspomnieliśmy na początku, gdy mówili o niedostatkach ludzkiej wiedzy.

Powiadamy zazwyczaj, że wulkan jest to góra ogniem ziejąca, z której wypływają potoki roztopionej lawy; jednakże góra nie stanowi wcale wulkanu, ale powstaje właśnie z wulkanicznych wybuchów; siła podziemna wypycha ją ponad powierzchnią ziemi, a na tém wzniesieniu gromadzi się lawa, żużle i popiół. To też najwyższe góry wulkaniczne są zarazem i najdawniejsze, bo rosną zwykle po trosze za każdym wybuchem. Kształt ich jest całkiem odrębny, stożkowaty, z łatwością też rozróżnić można górę wulkaniczną, nawet całkowicie wygasłą. Czasem znów wierzchołek góry obniża się nagle, jeśli wybuch gwałtowny nastąpi po długim odpoczynku. Wezuwiusz nieraz już zmieniał swoją wysokość, podnosił się i opadał, Hekla w r. 1845 zniżyła się odrazu na 170 metrów, a na jednej z wysp Sundzkich góra wulkaniczna osunęła się całkowicie, a na jej miejscu powstało jezioro.

Niezmierne mnóstwo wygasłych wulkanów naliczono w różnych częściach ziemi, czynnych jest dziś trzysta kilkadziesiąt, ale zdarzało się nieraz, że wulkan przez czas niezmiernie długi pozostawał w spoczynku, a potem na nowo zaczynał wybuchać. Najlepszym tego przykładem jest włoski Wezuwiusz; drzemał on sobie spokojnie przez długie

wieki, od najdawniejszych czasów nie słyszano o tém, aby ta góra miała ogniem buchać, jeden z łacińskich pisarzy, opisując ją, zauważył tylko, iż wierzchołek jej jest nagi, ogołocony z roślinności, i wygląda, jakby spalony od ognia. Dopiero w r. 63 po Narodzeniu Chrystusa w okolicy Wezuwiusza zaczęły się czuć dawać silne trzęsienia ziemi, sąsiednie miasta Herkulanum i Pompeja prawie zupełnie zostały wtenczas zniszczone, budynki się powaliły i trzeba je było na nowo odbudowywać. W r. 79 nastąpił straszliwy wybuch wulkaniczny i też same miasta uległy ostatecznej zagładzie, gruba warstwa popiołów i lawy pokryła je całkowicie. Słyszeliście o tém zapewne, że za naszych czasów je odkopano i znaleziono w nich mnóstwo ciekawych zabytków. Od téj pory Wezuwiusz nie wygasa, chociaż miewa długie odpoczynki.

Chociaż nieraz czytaliście opisy wulkanicznych wybuchów, może nie macie jednak o nich dokładnego wyobrażenia i nie zawadzi powiedzieć o tém słów kilka. Niejeden sobie wyobraża, iż w czasie wybuchu ziemia się otwiera i płomienie z niej się wydobywają, jakby z olbrzymiego ogniska, nieraz nawet w starych książkach widzieć można rysunki podobne. W rzeczywistości jednak rzeczy się odbywają nieco odmiennie. Zazwyczaj przed wybuchem na dni kilka dają się czuć coraz częstsze i silniejsze wstrząśnienia ziemi, z otworu, czyli krateru wydobywają się białe obłoczki, wyziewy podziemne, nakoniec podnosi się olbrzymi słup czarnego dymu, z razu strzela prosto w górę, potem zaczyna się rozprzestrzeniać u szczytu, nakształt potwornego parasola. Sosny włoskie, piniole, mają podobną postać, pień ich wyrasta równo, jak kolumna, a u wierzchołka dopiero rozchodzą się dokoła gałęzie w kierunku prawie poziomym, dla tego też Włosi porównywiają słup dymu, buchający z wulkanu, do olbrzymiej sosny. Ta chmura dymu jest czarna, gdyż zawiera w sobie masę popiołu, która zasypuje całą okolicę. I tu jednak trzeba wiedzieć, że to nie jest zwyczajny popiół, jaki powstaje po spaleniu drzewa lub węgla, lecz sproszkowana niezmiernie drobno lawa. Często w czasie wybuchu silny wichur unosi zamieć popiołu w dalekie strony. Nieraz z Wezuwiusza popioły spadały aż w Konstantynopolu, a nawet w Tripoli, w Afryce; z Hekli, leżącej na wyspie Islandyi, zanosiliły je wichry aż na wyspy Orkney. Często także ponad wulkanem zbierają się chmury prawdziwe, łączą się z obłokami dymu, zrywa się straszliwa burza, ciemności osłaniają widnokrąg, błyskawice przelatują w powietrzu, gromy huczą, a deszcz ulewny zamienia mialkie popioły w czarne potoki błota. Lawa rozpalona

wypływa zwykle dopiero po pewnym przeciągu czasu, czy to z samego krateru, czy z bocznych otworów wulkanu.

W nocy zjawisko wspaniały przedstawia widok. Ponad kraterem ukazuje się wysoki słup światła, który nawet podczas najgwałtowniejszego wichru utrzymuje się zupełnie nieruchomo, jakby ognisty obelisk, wmurowany na wierzchołku góry. Kiedy niekiedy wylatują z niego tylko iskry jaśniejsze. Niepodobna przypuścić, aby to prawdziwe płomienie miały przybierać ten kształt słupa, gdyż nie mogłyby w takiej nieruchomości się utrzymać. Trudno jednak zbliżyć się do buchającego wulkanu, aby tę wątpliwość rozstrzygnąć. Učení przypuszczają, że słup ognisty jest tylko odbiciem w powietrzu blasku rozpalonej lawy, wypełniającej krater.

Nie będziemy tu wyliczać ani opisywać sławniejszych nawet wulkanów, toby nam za wiele czasu zabrało, wspomnimy tylko niektóre najosobliwsze. Do takich zaliczyć można wulkan Mauna-Loa na wyspie Hawaj, na oceanie spokojnym. Jest to potężna góra wysoka na 4303 metry, mająca na wierzchołku i po bokach kilka ogromnych kraterów, z których nieustannie podnoszą się wyziewy podziemne. Większe wybuchy przytrafiają się dość często i nieraz podróżni bywali świadkami tego groźnego i wspaniałego zjawiska. W całej wyspie widno jest wtenczas wśród nocy, jakby w dzień biały, ognista lawa tryska na paręset metrów w górę, jak olbrzymia fontana, i potokami spływa w doliny.

Rycina nasza przedstawia krater wierzchołkowy w czasie wybuchu. Niżej, na jednym ze stoków góry, jest krater daleko większy, zwany przez krajowców Kilanea. To zagłębienie ma 4500 metrów długości i 2250 szerokości, 300 metrów głębokości, i zawsze jest wypełnione ciekłą lawą, która się burzy w tej strasznej otchłani i kiedy niekiedy tryska wysoko w górę. Krawędzie krateru utworzone są z zastygłej lawy.

Mieszkańcy wyspy Hawaj wyznają obecnie wiarę chrześcijańską, miasto ich stołeczne, Honolulu, jest pięknie zabudowane i ma port wygodny, gdzie zwykle wypoczywają okręty europejskie, żeglujące po oceanie Spokojnym. Ale dawniej, w czasach bałwochwaltwa, krajowcy ci wyobrażali sobie, że groźna bogini, zwana Pele, przebywa w głębi wulkanu Mauna-Loa w towarzystwie innych bóstw, przełożonych nad piorunami, wichrami, deszczem itd. Trzęsienia ziemi i wybuchy uważane były za objawy gniewu podziemnej bogini i składano jej wówczas krwawe ofiary ludzkie. Gdy misjonarze chrześcijańscy nawrócili królową wyspy, krajowcy nie chcieli z razu iść za jej przy-

kładem, obawiając się zemsty i gniewu bogini Pele. Odważna królowa, nazwiskiem Kapiolani, zgromadziła wówczas swoich poddanych i objawiła, że pójdzie sama zatknąć krzyż na brzegu krateru; wszyscy błagali jej, aby się nie narażała na tak straszne niebezpieczeństwo, ale ona nie dała się zachwiać w postanowieniu. „Jeżeli zginę — rzekła — będziecie czcili dalej boginią Pele, lecz jeżeli wyjdę cało z ognistych czeluści, ukorzycie się przed tym, który jest potężniejszy od waszych bogów“. Krajowcy poszli za nią, przejęci trwogą, padli na twarz u krawędzi krateru, królowa śmiało spuściła się w głąb, dotarła aż do jeziora, wypełnionego lawą i na brzegu zatknęła znak zbawienia. Gdy powróciła szczęśliwie, poddani jej nie opierali się przyjęciu nowej wiary i obecnie wszyscy prawie są chrześcijanami.

U wybrzeża największej z wysp Filipińskich, naprzeciw głównego miasta, Manili, piętrzy się wśród morza okazała góra wulkaniczna, której wierzchołek nieustannie wśród nocy otoczony jest blaskiem, i wygląda nakszałt olbrzymiej morskiej latarni. Dla okrętów wjeżdżających do portu w nocy, blask ten w rzeczy samej zastępuje latarnię. Jakże czarujący być musi widok wybrzeża, roślinności zwrotnikowej i całego krajobrazu, przy tém wspaniałem oświetleniu.

Sławny podróżnik Ross odkrył w r. 1841, na morzu lodowatém południowem, dwa wulkany na wyspie Wiktorii. Jeden z nich przedstawił mu się w całej okazałości, buchał ognistą lawą, i świecił jak pochodnia wśród olbrzymich gór lodowych. Wulkan ten otrzymał nazwę Erebu.

W r. 1759 w Meksyku, na rozległej równinie, po kilkudniowem trzęsieniu ziemi, wyrosła nagle, jak grzyb po deszczu, góra wulkaniczna, zwana Jorullo. Przez lat kilka wybuchy powtarzały się w małych odstępach, potem nowy wulkan zupełnie wygasł.

Na wszystkich morzach możnaby naliczyć mnóstwo wysp, które powstały jedynie w skutek wulkanicznych wybuchów. Siła podziemna podnosi dno morza, tak zupełnie jak powierzchnią stałego lądu, szczyt takiej góry występuje ponad wodę i tworzy się wyspa, którą następnie wybuchy rozprzestrzeniają, lub niszczą, pogrążając ją znów w otchłaniach morskich. W r. 1831 powstała na morzu Śródziemném mała wysepka; nadano jej nazwę Ferdinandeia, lecz w parę lat znikła, podniosła się po raz drugi i ostatecznie opadła na dno morskie w r. 1864.

A teraz musimy wam choć w krótkości powiedzieć, jakim sposobem nauka usiłuje wytlómaczyć przyczyny wybuchów wulkanicznych. Otóż najpierw trzeba wiedzieć, że prawie wszystkie czynne

wulkany leżą w bliskości morza. W czasie wybuchu wydobywa się zawsze z wnętrza krateru ogromna ilość pary wodnej, a uczeni przekonali się, że ta para pochodzi z morza, gdyż we wnętrzu krateru i na krawędziach jego osadzają się zwykle rozmaite sole, znajdujące się tylko w wodzie morskiej.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że wybuch powstaje w skutek nadzwyczajnego nagromadzenia i rozprężenia pary w głębi wulkanu. Któż o tém nie wie, jaką wielką siłę ma para, dość przypomnieć sobie, że rozrywa nie raz mocne żelazne kotły; cóż dziwnego, że wypycha z wnętrza ziemi masę lawy i podnosi całe góry, gdy wytworzy się w wielkiej obfitości w podziemnym ognisku.

Trudniej jest jednak wyjaśnić, z kąd się bierze to ognisko pod ziemią. Według przekonania wielu uczonych, wewnątrz ziemi jest całkowicie wypełnione cieczą rozpaloną, a stała jej powierzchnia składa się z cieniutkiej stosunkowo skorupy. Zdawałoby się zatem, że lava wulkaniczna jest tą cieczą i że wydobywa się w czasie wybuchu, gdy ją para wypchnie z głębin ziemi. W rzeczy samej tak sobie niektórzy tłómaczą wulkany, utrzymując, że to są klapy bezpieczeństwa ziemi, którą ta masa wewnętrzna mogłaby rozsądzić. Dodają nawet, iż w tej cieczy mogą się odbywać przypływy i odpływy, tak samo, jak w oceanie, w skutek przyciągania księżyca i słońca.

Inni znów twierdzą, że to wyjaśnienie nie jest wcale prawdopodobne, bo trudno sobie wyobrazić, aby ogniska wulkanów miały się znajdować w takiej nadzwyczajnej głębokości. Wielkie ciepło może czasem powstać i bez ognia; jeżeli wam się zdarzyło kiedy widzieć, jak wapno niegaszone za dolaniem wody zaczyna się nagle burzyć, jak mięszanina nadzwyczajnie się rozgrzewa, macie o tém niejaki wyo-

brażenie. W wapnie odbywa się przemiana, zwana związkiem chemicznym. Dwa ciała chciwie się z sobą łączą, tworzy się z tego ciała odmienne i przytém wywiązuje się ciepło. W głębi ziemi mogą się także odbywać podobne związki chemiczne.

Wszystko to jednak są tylko przypuszczenia,



Wulkan Mouna-Loa.

prawdziwa przyczyna powstawania wybuchów wulkanicznych jest dotychczas nieznana. W czasach niezmiernie dawnych, gdy jeszcze lądy nie miały dzisiejszych swoich kształtów, musiało być daleko więcej wulkanów na ziemi, a wybuchy odbywały

się zapewne na większą skalę. Jest bowiem mnóstwo skał, a nawet całych łańcuchów gór, których skład zupełnie jest podobny do zastygłej lawy.

W następującej pogadance pomówimy obszerniej o trzęsieniach ziemi. Klęska ta w czasach ostatnich dotkliwie się czuć dała w wielu miejscowościach Europy, a uczeni tém gorliwiej starali się przyczyny jej rozjaśnić.

M. J. Z.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

I.

Przybycie do Australii. — Opowiadanie doktora. — Zdziczały Europejczyk. — Przymierze z dzikimi ludźmi. — Zabawna maskarada. — Wypowiedzenie wojny i pojednanie.

10 Stycznia 1876 r., po kilkutygodniowej żegludze, ujrzelśmy nakoniec przed sobą ląd australijski. Nazajutrz mieliśmy wylądować w małej przystani Port-Filip, a następnie wsiąść do wagonu i w kilka minut dostać się do miasta Melbourne, celu naszej podróży.

Było to o godzinie 11-jej wieczorem. Przechadzaliśmy się po pokładzie, chciwym wzrokiem usiłowaliśmy przebić ciemno ści, osłaniające widno krąg dokoła. Na błękitie niebios jaśniał wspaniale krzyż południowy ¹⁾, a powiew wieczorny przynosił nam zapachy nadbrzeżnych roślin.

Parowiec nasz był w pogotowiu, o świcie miał przybić do portu. Kotwice, zawczasu spuszczone, ugrzęzły wśród koralowych zarośli, zamulających zatokę; żaden z nas nie myślał o spoczynku, z gorączkową niecierpliwością wyglądaliśmy rana, ażeby się na ląd dostać.

— Moi panowie — rzekł dr. Stephenson starszy lekarz okrętowy — pojmuję bardzo waszą niecierpliwość, macie przed sobą prawdziwą krainę cudów. Jutro będziecie się zachwycali niezwykle widokami, nie chcę uprzedzać tych wrażeń, muszę jednak, jako doświadczony podróżnik, opowiedzieć wam w krótkości przygody, jakie mnie na tej ziemi spotkały przed dwudziestu laty. Czy to opowiadanie podnieci, czy też ostudzi wasz zapał, to już nie moja rzecz.

Wtém stary majtek, stojący na stanowisku

u steru, dał znać donośnem wołaniem, że pora warty pozmienić, gdyż północ się zbliża.

— Mamy jeszcze dobre cztery godziny do dnia białego, okręt dopiero o czwartej zbliży się do brzegu i jeżeli macie ochotę posłuchać... Moje dziecko — dodał doktor, zwracając się do małego posługacza — pójdź poproś dla nas o wagę ponczu i o pudełko cygar.

A teraz, panowie, zaczynam. Słyszeliście zapewne, że akademія londyńska w r. 1853 miała zamiar założyć uniwersytet w Melbournie i że przedsięwzięcie to spełzło na niczem, ale może nie znanie bliższych szczegółów tej wyprawy. Straszliwa burza rozbiła okręt, wiozący profesorów angielskich, rzuciła go na rafę koralową, która przedziurawiła dno okrętu na wylot. Było to w czasie porównania dnia z nocą, gdy wielki przypływ podnosi powierzchnię oceanu do nadzwyczajnej wysokości. Statek, zahaczony na wierzchołku ostrzej skały, zatrzymał się, a gdy morze opadło, znajdował się tak wysoko, że woda nie mogła go zalać, ale był całkowicie zgruchotany i niezdołny do dalszej żeglugi. Nieszczęście to wydarzyło się tak blisko od brzegu, że nie tylko ludzie się uratowali, ale przewieźli nawet znaczną część ładunku na małej łódce, która uniknęła rozbicia.

Byłem wówczas młody, tylko co ukończyłem uniwersytet, i towarzyszyłem, jako pomocnik, stryjowi mojemu, który miał być profesorem i dziekanem niedoszłego uniwersytetu. Dopomagałem też bardzo czynnie przy przewożeniu ogromnych pak, zawierających przyrządy fizyczne, materiały chemiczne i rozmaite naukowe przedmioty, które miały zapełnić gabinety uniwersyteckie. Złożyliśmy na ziemi wszystkie te bogactwa, potem zajęliśmy się wyszukaniem jakiej żywności, gdyż zapasy nasze zamokły w wodzie morskiej i prawie zupełnie były zniszczone.

Krajowcy, dla których rozbicie okrętu jest zawsze pożądanem zdarzeniem, zaczęli się zbierać na wybrzeżu i krążyli z ciekawością naokoło naszego obozu. Chciwie spoglądali na nasze bogactwa, o których musieli sobie dziwne rzeczy wyobrażać, a domyśliwszy się naszego kłopotu, dali do zrozumienia na migi, że gotowi są dostarczyć nam żywności, w zamian za posiadane przez nas skarby. Przystaliśmy na to chętnie.

Pierwszy posiłek, jakiśmy od nich dostali, składał się z ryb, łowionych w sieci, wiązane bardzo zręcznie z włókien lnu nowozelandzkiego (*Phormium tenax*). Nędzne to było pożywienie, a jednak drogo musieliśmy za nie zapłacić. Nie mieliśmy szklanych paciorków i błyskotek, na które dzicy ludzie wszędzie są nadzwyczaj chciwi, mu-

¹⁾ Tak się nazywa gwiazdozbiór w kształcie krzyża widziany tylko na południowej półkuli.

sieliśmy więc radzi nie radzi poświęcić za ten skromny obiad kilka miedzianych kraników, odkręconych od naszych fizycznych przyrządów, parę metrów rurki kauczukowej, lunetę okrętową i prawie wszystkie błyszczące guziki od mundurów. Ci niegodziwi zdzierycy z taką natarczywością domagali się wszystkiego, co im w oko wpadło, korzystając z naszego nieszczęśliwego położenia, że nie mogliśmy się im oprzeć.

Dobiliśmy jednak targu, zaspokoiłszy pierwszy głód, ale łatwo było przewidzieć, że dzicy handlarze na drugi raz większe jeszcze wymagania stawią zechcą. Przeczucia nasze sprawdziły się całkowicie. Wieczorem zaniepokoił nas widok niezliczonych ognisk, które zapłonęły dokoła wśród nocnych cieni. Co chwila odzywały się przeraźliwe wrzaski, niepodobne do głosów ludzkich, ale raczej do wycia dzikich zwierząt. Widocznie więc ci ichmoście, nie znając telegrafów, porozumiewali się w ten sposób, który, jak niesie podanie, i w Europie kiedyś przyjęty był za czasów barbarzyńskich. Nazajutrz spostrzegliśmy, że dzikich przybyło jeszcze przynajmniej drugie tyle, co wczoraj, naliczyliśmy ich przeszło stu pięćdziesięciu. Uzbrojeni byli w dzidy, siekiery i noże, których kształt pierwotny przypominał owe narzędzia kamienne, z czasów zamierzchłej starożytności pochodzące, wydobywane z głębi ziemi; mieli także szczególną broń, którą nazywali *bumerang*; później dopiero dowiedzieliśmy się, w jaki sposób jej używają australscy krajowcy.

Nas, rozbitków, było wszystkiego trzydziestu dwóch, byliśmy wprowadzić dobrze uzbrojeni, ale zresztą na wszystkiemu nam zżywało. Trudno nam było bardzo porozumieć się z dzikimi na mię, które oni często na opak sobie tłómaczyli, gdyż nieroztropność tutejszych krajowców wszelkie pojęcie przechodzi. Obdzierali nas niemiłosiernie i kto wie, czybyśmy sobie potrafili dać rady z nimi, gdyby Opatrzność nie zesłała była na ratunek nasz Europejczyka, którego z niemałym zdziwieniem napotkaliśmy wśród takich towarzyszków.

Był nagi, tak samo, jak i oni, a skórę miał tak spaloną od słońca, a przytém tak całkowicie pokrytą kolorowemi rysunkami, że trudno było w nim poznać na pierwszy rzut oka białego człowieka. Ale za to ogromna broda wyróżniała go znakomicie od wszystkich Australczyków, którzy zupełnie są pozbawieni takiego zarostu. Biedak ten, niegdyś skazany na wygnanie w karną kolonię angielskiej w Australii, umknął ztamtąd, schronił się wśród sąsiedniego plemienia i wkrótce siłą swoją, zręcznością i odwagą, takie pozyskał poważanie, że go obrano dowódcą wojskowym. Miał też na sobie oznaki tej godności, pióro sokole,

uwiązane nad lewem uchem, lekką plecionką z siłowia, i naramiennik z zębów węża na lewem ramieniu.

Radość jego była niezmierna, gdy nas obaczył, ale objawiał ją głównie znakami, zapomniał bowiem prawie zupełnie ojczystej mowy, wyuczywszy się dziwacznej gwary krajowców, z którymi przebywał od lat wielu. Był to Szkot rodem, nazywał się Józef Mac-Knight (Mak-Najt). Podjął się odprowadzić nas do Melbourne, od którego dzieliło nas kilkanaście dni drogi.

— Ale proszę was, moi panowie — mówił, jakając się — nie sprzeciwiajcie się w niczem krajowcom, bo opuszczają was i zginiecie z głodu na puszczy, albo rzucą się na was i pokonają, pomagającą liczbą, pomimo odwagi waszej i dobrego uzbrojenia.

Rada ta była rozsądna i postanowiliśmy się do niej zastosować, dbając o własne bezpieczeństwo. Nazajutrz dzicy dostarczyli nam znowu żywności, ale nie mieliśmy już drobniejszych błyszczących przedmiotów i musieliśmy ciężką ponieść ofiarę, rozbierając i niszcząc różne przyrządy naukowe. Targi odbywały się za pośrednictwem Józefa, który zarazem służył nam za tłómacza. Biedny człowiek patrzył na nasze zbiory prawie z takim samym podziwieniem, jak i dzicy jego towarzysze.

Zawarliśmy w końcu uroczyste przymierze z gromadką Australczyków i zobowiązali umowę; oni obowiązali się odprowadzić nas do Melbourne, nieść nasze rzeczy, i dostarczać nam żywności przez drogę, my za to mieliśmy im odstąpić część naszych naukowych przyrządów. Po oznaczeniu punktów przedugodnych, przystąpiono z obu stron do wykonania przysięgi. Ceremonia ta, ważna niezmiernie dla krajowców australskich, którzy nigdy takiego przyrzeczenia nie łamią, dla nas, szczerze to wyznać muszę, była zabawna do najwyższego stopnia. Co do mnie, zaledwie się powstrzymałem od szalonego śmiechu, widząc jak sędziwy mój stryjasek, profesor Stephenson, siedział nieporuszony na ziemi, z nogami skrzyżowanymi, trzymając dłonie na kłębach australskiego swojego kolegi, doktora, a raczej czarownika dzikiej gromady, siedzącego w takiejże samej pozycji, według przyjętego ceremoniału. Nie mogłem do dziś zapomnieć, jaką dziwną i pocieszną sprzeczność przedstawiały dwie te postacie; stryjasek, starannie wygolony, wyświeżony, pomimo smutnego naszego położenia, z gładko przyczesanymi, białymi jak śnieg włosami; Australczyk przykryty skórą kangura, ustrojony w dziwaczne ozdoby, i błyskotki, podobniejszy do małpy z wędrownego cyrku, niż do człowieka.

Po wymówieniu uroczystych słów przysięgi,

sprzymierzeńcy nasi wychylił kilka butelek rumu, a potem zaraz przystąpiliśmy do spełnienia najważniejszego warunku umowy, musieliśmy rozdać zawartość kilku naszych pak pomiędzy dzikich Australczyków. Nie łatwa to była sprawa, bo niektóre przedmioty budziły chciwość powszechną i każdy je sobie chciał przywłaszczyć, ztąd wynikały co chwila spory i wybuchy zazdrości.

Osobliwy był widok tego bazaru, rozłożonego pod cieniem wielkich rozdrębów (eukalyptów)¹⁾, dokoła uwijała się zgraja czarnych handlarzy. Najbardziej poszukiwane były wszelkie przedmioty metalowe, miedziane i żelazne, a potem chemiczne materyały w proszku lub w kryształach, rozmaite sole kolorowe, żółte, czerwone, zielone, błękitne. Wszyscy się nimi zachwycali, wydzielali je sobie, chociaż przestrzegaliśmy przez tłomacza, Józefa, że większa część tych substancyj składa się z gwałtownych trucizn. Radość doszła do ostatecznych granic, gdy dzicy spostrzegli, że z tych soli i proszków można było przyrządzać farby. Natychmiast zaczęli się malować w przeróżne barwy i ręczę, że dnia tego powstała w kraju niejedna nowa moda, o której dotąd muszą wspominać. Któryś z dzikich na przykład pochwycił butelkę pełną złocistego roztworu, był to dwusiarek cyny, używany do przyrządów elektrycznych i cały się tą błyszczącą cieczą wysmarował od stóp do głowy. Trudno sobie wyobrazić coś pociesniejszego; wyglądał jak potworna figurka brązowa, a gdy zaczął wyskakiwać z wielkiej uciechy, pokładaliśmy się wszyscy od śmiechu.

Inny przechadzał się poważnie, wsadziwszy na głowę wielki dzwon szklany od maszyny pneumatycznej, który mu przykrywał twarz całą i opierał się na ramionach. Trzeciemu dostały się szalki blaszane, urządził z nich sobie muzyczne narzędzie, tłukąc zawzięcie jedną o drugą, jak chińskie talerze. Czwarty zawiesił sobie na plecach wielki szklany krążek od elektrycznej maszyny, a niektórzy rozrywali w kawałki druty, owinięte jedwabiem, służące do elektrycznych przyrządów i uwiązywali nimi swoje stroje. Widok ten stryjaszka nawet rozwesolił i nie mógł się od śmiechu powstrzymać.

Nazajutrz puściliśmy się w drogę i z razu wszystko szło jaknajlepiej, my wszyscy spełnialiśmy ściśle warunki traktatu, a sprzymierzeńcy nasi, muszę im tę sprawiedliwość oddać, także ze swojej strony święcie dotrzymywali wszystkich przyrzeczeń. Ale niestety! nie długo trwała ta

czuła zgoda i jedność, i ze wstydem mi wyznać przychodzi, że przymierze nie przez dzikich, lecz przez jednego z naszych naruszone zostało. Majtek olbrzymiej postawy i siłacz wielki, a przytém pijak i ladaco, pokłócił się o coś z Australczykiem i nie wiele myśląc pałnął go kułakiem w piersi tak potężnie, że go trupem położył na miejscu. Nagle rozległ się w całej gromadzie naszych przewodników taki wrzask przeraźliwy, że nawet stada papug i innych różnobarwnych ptaków zerwały się przestraszone z drzew okolicznych. Było to hasło wojenne!

W jednem mgnieniu oka majtek winowajca padł pod ciosem kamienną siekiery i kilkunastu włóczni, a dopełniwszy tego wymiaru sprawiedliwości, cała zgraja dzikich rosypała się szybko na wszystkie strony i znikła wśród leśnej gęstwiny. Pozostaliśmy sami, bez przewodnika, bez żadnych zapasów żywności, wśród niezmierzonej, bezludnej puszczy.

Na szczęście Józef, ów zdziczały Europejczyk, nie opuścił nas w tej smutnej przygodzie. Nie tracąc czasu, wysmarował się cały żółtą farbą, która jest oznaką pokoju i niezbędną ozdobą parlamentarza w Australii, potem puścił się w pogoń za zbiegami, przyrzekłszy nam, że użyje całego swojego wpływu, aby ich skłonić do zgody.

Upłynęło dwa dni, długie dwa dni niepokoju, głodu i pragnienia, wśród strasznego upału. Już zaczynaliśmy rozpaczać, gdy zjawił się nareszcie nasz wierny poseł, prowadząc za sobą jednego z dygnitarzy zbiegłej gromady dzikich, przystrojonego w barwy wojenne, to jest umalowanego na białło, z rysunkami okropnych szkieletów na twarzy i wszystkich członkach. Przychodził on w poselstwie od obrażonej zgrai, stanął przed nami w postawie wyzywającej, wsparty na włóczni i za pierwszy warunek położył, abyśmy natychmiast oddali w jego ręce broń i resztę naszych pakunków. Musieliśmy się na wszystko zgodzić pod groźbą śmierci głodowej. Wkrótce nadbiegła i reszta dzikich, nieśli z sobą zapasy żywności, a podczas gdyśmy chciwie głód zaspakajali, oni zmywali groźne farby wojenne.

Musieliśmy radzi nie radzi poświęcić wszystkie nasze zbiory, dzicy rozszarpali w jednej chwili szacowne te skarby, któreśmy mieli nadzieję donieść szczęśliwie do miasta. Ale Józef uprzedził nas, że nie było innego sposobu uratowania własnego naszego życia. Tą razą nic już nie zakłóciło zgody zobopólnej i po trzech dniach nużącej podróży przybyliśmy szczęśliwie do Melbourne.

¹⁾ Drzewa australskie, o których w dalszym ciągu będzie wiele szczegółów zajmujących.

II.

Kraina złota. — Melbourne przed laty dwudziestu. — Dom gry. —
Zakończenie opowiadania doktora.

W tych czasach — mówił dalej doktor — to jest przed laty dwudziestu, wybuchła już była gorączka złota w Australii. Bogate kopalnie szacownego kruszcu ściągały chciwych poszukiwaczy ze wszystkich stron świata, tak samo, jak przedtém Kalifornia. Miasto Melbourne urosło na pustyni, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Świetne hotele, na prędcie sklecone, wznosiły się obok niskich chatek, po ulicach włóczyło się mnóstwo nędzarzy, we śnie i na jawie marzących o złocie, a niemniej nędznie od nich wyglądali i ci, co się już świeżo wzbogacili w kopalniach i z obawą ukrywali się ze swojemi skarbami.

Przed dwoma laty, 3 Kwietnia r. 1851. Anglik Hargraves odkrył był złoto w bliskości małej zatoki Sommer-Hill. W Sierpniu tegoż samego roku woźnica, wyciągając z błota koła swojego wozu, w okolicy zatoki Andersona, gdzie później stanęło miasto Melbourne, znalazł ogromną bryłę złota, ważącą 570 gramów. Wieść o tém odkryciu błyskawicą rozeszła się po świecie i przy końcu roku ze 400,000 ludzi przybyło na zdobycie złotego runa; motykami rozbijano skały, grzebano w głębi ziemi i płukano piasek rzeczny. Cała ta ludność, z różnych narodów złożona, jedno tylko miała na myśli, poszukiwanie szacownego kruszcu. Wielkie to było poświęcenie, jeśli ktoś zgodził się na parę dni powrócić do dawnego rzemiosła i naprzykład szyc buty. Jeśli to uczynił, musiał zarobić przynajmniej 400 franków na dzień. Kucharzowi płacono około 1000 fr. na tydzień, a co on tam gotował, o tém już lepiej nie wspominać. Najdrożej jednak ceniono robotę kowalską; drągi kute do rozbijania kamienia płaciły się na wagę złota, bez żadnej przesady. Ale i inne przedmioty codziennego użytku miały ceny bajeczne. Para butów kosztowała 300 franków, koszula najmniej 100 itd. Moneta była tam prawdziwą osobliwością, płacono garściami złota, które sypało się wszędzie w proszku, w ziarnkach lub większych bryłach.

Wieczorami robotnicy gromadzili się najliczniej w domu gry. Gdyśmy przybyli do Melbourne, i ja także chciałem przypatrzeć się z bliska tym bajecznym skarbowi i udałem się do tej jaskini zbójczej, gdzie uderzył mnie zaraz na wstępie fantastyczny widok stosów złota, około których krążyły różnobarwne tłumy z rozognionym wzrokiem. Dom gry nigdy się wtenczas nie zamykał w Melbourne. We święta i dni powszednie, od rana do nocy i od wieczora do rana, tłoczono się

tam bez ustanku. Był to ogromny budynek drewniany; w przeciągu lat kilku spalił się dwa razy, ale go zawsze na prędcie odbudowano. Później jednak rząd angielski położył koniec zgorszeniu, jakie się tam działo przez czas długi i wzbronił gry publicznej, a budowla ta zamieniona została na szpital.

Wszedłem do wielkiej sali zapełnionej bezładnie najrozmaitszemi meblami; aksamitne fotele i kanapy stały tam obok nędznych sprzętów. Gracze w dziwacznych ubiorach, po większej części obdarci i zasmoleni, cisnęli się przy stolikach, inni siedzieli, a nawet i leżeli po kątach, otaczając się kłębamii dymu. Powietrze było ciężkie, dymem i kurzawą przepełnione, światła blado migały, jakby wśród mgły gęstej, wszystko przybierało jakieś dziwaczne kształty.

Przy stołach stali bankierzy, nieruchomi, obojętni na wszystko. Każdy miał przed sobą małe szalki, na których odważał złoto. Stosy błyszczącego proszku i piramidy bryłek rozmaitej wielkości wznosiły się na stołach, a przy nich leżały nabite rewolwery i wielkie wyostrzone noże. A broń ta nieraz bywała w użyciu, niejedna kula utkwiała w ścianie, a ostrza żelaza liczne ślady pozostawiały na stołach, nie mówiąc już o krwi, która codziennie płynęła wśród sporów i zawziętych bojów.

Cóż to była za mieszanina języków! Istna wieża Babel. Najrozmaitsze postacie migały przed oczyma mojemi, jakby w kalejdoskopie. Obok Anglika w ubiorze salonowym, w świeżutkich rękawiczkach i cylindrze, przesuwają się Amerykanin olbrzymiego wzrostu w spodniach i kurtce ze skóry, w futrzanej czapce. Twarz jego z jednej strony odęta, gdyż nigdy z ust nie wypuszcza paczki tytoniu, którą gryzie z upodobaniem. W rękę, jakby dla zabawki, obraca wielki nóż z błyszczącym ostrzem. Za nim postępuje cichutko chudy, żółty Chińczyk, w czarnych jego oczach maluje się chytryść i przebiegłość. Widocznie wielką ma ochotę zapuścić długie palce w kieszenie ogromnego Amerykanina, ale ten ma węch dobry, ogląda się i bez namysłu spuszcza potężną pięść na wygoloną głowę Chińczyka, a ten milczkiem osuwa się na podłogę. Marynarze różnych narodowości ocierają się o murzynów, a w tłumach poszukiwaczy złota łatwo rozpoznać mieszkańców północy po jasnych czuprynach i brodach, które dziwnie odbijają od twarzy ogorziałych na słońcu zwrotnikowem. Poszukiwacze złota są po większej części nędznie odziani, buty mają dziurawe, nieuczesane włosy, ale na łachmanach noszą mocne pasy skórzane, naładowane złotem, bo inaczej nie mieliby po co przychodzić do domu gry.

W tej samej sali urządzona była jadalnia.

Wszyscy ci ludzie wycieńczeni głodem i trudem, uzbierawszy dostatek złota, przychodzili tu nasyć się różnemi przysmakami, o których w Europie mało kto zasłyszał nawet. Piersi czarnych łabędzi drogą się płacą na targach w Melbournie; niemniej poszukiwane są wątróbki kormoranów, skrzela rekinów, marynowane w winie palmowém, a nadewszystko pieczeń z kangurów.

Nie brakło nawet i muzyki w tym przybytku wszelkich rozkoszy i przyjemności. Przypominam sobie zabawną scenę, której byłem świadkiem owego wieczora. Gromadka muzykantów i śpiewaków, po ukończeniu koncertu, chodziła dokoła sali, zbierając hojne datki graczy, którzy nie szczędzili złota i sypali je na wszystkie strony. Na przodzie postępowało dziewczątko dziesięcioletnie, wątle i ładniutkie, zabłąkane wśród tego piekła, jak kwiatek w kraterze wulkanu. Mała kwestarka trzymała w rączkach miseczkę cynową, używaną do płókania złota w kopalniach, a każdy składał w nią swoją ofiarę. Gdy śliczna dziecina stanęła przed ogromnym Amerykaninem i dźwięcznym głosem przemówiła:

— Łaskawy panie, racz obdarzyć śpiewaków małym datkiem, jeśli ci przyjemność sprawili.

Olbrzym stanął jak wryty, w pierwszej chwili nie mógł ani słowa przemówić, zdziwienie i zachwycenie wymownie się malowało na jego twarzy. Potém nagle wydobył z kieszeni skórzanej swojej kurtki wielką garść złotych grudek i rzucił ją w miseczkę; metal padł z głośnym dźwiękiem, a miseczka ugięła się w słabych rączkach pod tym ciężarem. Dziewczynka ukloniła się z wdzięcznym uśmiechem wspaniałomyślnemu dawcy i podała miseczkę ojcu, który siedł tuż przy niej. Amerykanin patrzył na nią ciągle, jak w tęczę, twarz jego dziwnie się rozjaśniła, po chwili odezwał się sam do siebie:

— Pierwszy raz w życiu widzę z bliska małe dziecko. Cóż to za śliczne stworzenie! żadna ptaszyna, żadna wiewióreczka nie może być tak miłutka, jak to!

Widziałem potém tegoż samego Amerykanina, jak wiódł zaciętą walkę na noże z obdartym Hiszpanem, który sięgnął ręką do jego kieszeni. Straszny to był bój, obaj zapaśnicy ponieśli ciężkie rany, a publiczność ani myślała ich rozbrajać; wszyscy stanęli kołem i przypatrywali się tak ciekawie, jak gdyby to była walka byków, lub kogutów.

Ale dość już tego, moi panowie — zakończył doktor, rzucając niedopalone cygaro, za chwilę już świt zabłyśnie na niebie i obaczycie sami tę osobliwszą krainę i miasto, które musiało się znacznie po latach dwudziestu. Jeżeli łaska, zajdźcie

do mnie jutro do Szkockiego hotelu, pokosztujemy razem przysmaków australskich w tamtejszej restauracyi.

III.

Melbourne w czasach obecnych. — Niespodziewane spotkanie — Wycieczka myśliwska. — Podarunek doktora. — Testament wygnańca.

A teraz, powtórzywszy to wstępne opowiadanie doktora, ja znów z kolei rozpocznę swoje własne. Najpierw zapytacie zapewne, czytelnicy, poco przybyłem do Australii? Nie byłem, ani wychodźcem, szukającym szczęścia pod obcém niebem, ani żeglarzem z powołania. Nie śmiałybym także nazwać się uczonym, posiadam jednak dość wiadomości naukowych, abym mógł z zajęciem i korzyścią zwiedzać dalekie kraje. Miłuję przyrodę i w podróżach moich zawsze mam głównie na celu zdobycie nowych zasobów wiedzy.

Zwiedziwszy już cztery części świata, jako naturalista i zapalony myśliwy, sprzykrzyłem już sobie amerykańskie pampasy, zarośla środkowej Azji i afrykańskie pustynie. Australia, ta kraina tak mało dotąd przez podróżników zwiedzana, wabiła mnie tajemniczym swym urokiem. Wsiadłem więc na okręt angielski, a ponieważ jestem zupełnie niezależny, nie mam żadnych obowiązków, któreby mię do miejsca przykuwały, z lekkim sercem puściłem się w drogę, tém bardziej, że pługares mój naładowany był dostatecznie temi szacownemi papierkami, na które każdy bank, w całym świecie cywilizowanym, tak w Paryżu i Londynie, jak w Nowym Yorku lub Melbournie, wypłaca z ochotą brzęczącą monetę.

Podróż morską odbyła się bez żadnej przykrzej przygody; nigdzie po drodze nie napotkaliśmy cyklonu ani gwałtownej burzy, parowiec nasz przez cały czas bez przeszkód przerzynał wody oceanu i wśród pogody najpiękniejszej zarzucił kotwicę w przystani, a ja wstąpiłem nareszcie na ląd australski.

Nie będę tu opisywał Melbournu; nie po to przecie odbyłem tak daleką podróż, aby oglądać zwyczajne ulice brukowane, hotele, bulwary, lub zabierać znajomość z Europejczykami różnych narodowości, którzy zaludniają to miasto. Kiedyś kiedyś ciekawość moję budziły gromadki czarnych krajowców, błędzące po ulicach. Biedni ci ludzie, których widok może być straszny na pustyni, lub w głębi lasu, tu, w tém otoczeniu tak niestosowném dla siebie, mimowolną litość budzili we mnie.

(D. c. n).

ROZMAITOŚCI.

W dniu 28 Listopada roku ubiegłego, w wielu miastach, u nas i zagranicą, obchodzono uroczystości pamiątkę śmierci Mickiewicza. Ponieważ obecnie zbierają się wszędzie składki na pomnik naszego wielkiego poety, który ma stanąć w Krakowie, więc chcąc o ile można powiększyć ten fundusz, młodzież akademicka urządzała różne widowiska płatne, żywe obrazy, śpiewy, deklamacje, odczyty, a zebrane za bilety pieniądze przesyłano do komitetu, zajmującego się pomnikiem.

Miedzy innemi i w Wrocławiu Polacy, studenci tamtejszego uniwersytetu, urządzili dnia tego wieczór podobny, i uprosili sędziego poetę, A. E. Odyńca, który był przyjacielem i towarzyszem lat młodych Mickiewicza, aby na tę uroczystość stosowny wiersz napisał. Przychylając się do ich żądania, p. Odyniec przesłał im przesłiczny wiersz, który za jego zezwoleniem podajemy wam tu w całości.

Jak stary guślarz, wezwany na *Dziady*,
Myślą i duszą stoję w pośród was,
I ku uczczeniu żałobnej biesiady,
Radbym z przeszłości wskrzesić dawny czas.
By w nim, jak z grobu wywołać przed oczy
Tego, któremu dziś składacie cześć,
A cały naród z wami się jednoczy,
By w dniu tym wszędzie równy hołd mu nieść.

Ale niestety! co pomogą chęci,
Kiedy mi na to nie stać ducha sił?
Więc patrząc chyba w obraz swój pamięci,
Prostu tylko powiem, jakim był.

Co czuł, co myślał, gdzie wiódł, co zwiastował,
To wie z was każdy — nawet obcy świat.

Pod wpływem jego rozwił się i chował
Duch z was każdego, — jak paproci kwiat,

Co tajemniczym tchem gwiazd rozwinięty,
W świętą, cudowną, świętojańską noc,
Wskazuje drogę, gdzie jest skarb zaklęty,
I ku zdobyciu jego wlewa moc.

Toż jak kraina długa i szeroka
Pieśń jego w sercach jednym echem brzmi,
I nie sztukmistrza arfy, lecz proroka
Naród w nim czuje, uznaje i czci.

Ale czy wiecie, w czém on za żywota
Sam szukał światła i z kąd siłę brał?
Bóg — wiara — miłość ojczyzny i cnota,
To były struny, na których duch grał.

Boga nie badał; — lecz przy świetle wiary
W ojczyźnie szukał woli Jego dróg,
Znał błędy ojców, znał braci przywary,
Lecz jak syn tylko, jak brat — nie jak wróg.

A co bądź cierpiał, co bądź sam doświadczał
Krzywd i boleści, czy z dołu, czy z wyż;
Że nie rozpaczał nigdy, a przebaczał —
W tém już podporą był mu tylko krzyż.

O! bracia moi! i gdyby w tej chwili
Widomie jego objawił się duch:
Kto wie — lecz ktoby śmiał zaprzeczyć? — czyli
Nie temi słowy zabrzmiałby wasz słuch:

„Albowiem wiedzcie i zważcie u siebie,
„Że kto chce kraju wiernym synem być,
„Światła i siły szukać musi w Niebie,
„W ojczyźnie — matkę, ojca — w Bogu czcić“.

Łamigłówka głoskowa (Małgosia).

óie	o	iai	óie	ye	ae
a	iao	o	u	a	óe
a	e	uoy	eiie	oae	
ooie	óie	aioe			

Dodawszy do tych samogłosek brakujące spółgłoski, otrzymamy pierwszą strofę wiersza znanego wszystkim dzieciom, napisanego przez wielkiego naszego poetę.

Krzyż z podstawą (Małgosia).

		1		
		or		
		l		
10	.	e	.	14
		.		
		l		
		.		
		15	.	17
		18	.	22
23	.	9	.	29

Wyraz od 1 — 9 pseudonim poety, od 10 — 14 tytuł zagraniczny, od 15 — 17 miejsce kąpielowe, od 18 — 22 nazwa pokoju, od 23 — 29 nazwa zdrojniała ozdoby, dobywaną z morza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51

Łamigłówki kryształowej.

			B		
			K R A		
			M R O Z Y		
			Z I M N I C A		
			B R O N I S Ł A W		
			U B Ó S T W O		
			W O Ł G A		
			W A R		
			W		

Zadania konikowego:

Nie wiem gdzie tam lepiej komu,
Każdy panem własnej woli,
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swój roli.
Nie ciekawym, co tam poda
Zagraniczna miastom moda:
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony.
(Prostak wiejski Stefana Witwickiego).

Odpowiedzi od Redakcyi.

Izi L. w Słupcu. Za rubla nadesłanego dla ubogiej panienki, serdeczne dzięki przesyła za pośrednictwem naszym redakcyi Kroniki Rodzinnej. Dzięki Bogu miłośni ludzie tak chętnie pośpieszyli z datkami, że już ta panienka kupiła sobie maszynę i zostało jej nawet trochę pieniędzy na opędzenie pilniejszych potrzeb rodzeństwa. Cieszymy się niezmiernie, że i kochani nasi czytelnicy przyłożyli się do tego dobrego uczynku. Dziękujemy za miłą dla nas wiadomość, że Pismo tak niecierpliwie jest wyglądane i przyjemne sny sprowadza.

Stawkowi L. w Słupcu. Rubelka oddaliśmy dla młodego Styka; będzie mógł kupić sobie za niego książkę do nauki a my prawdziwą mieliśmy przyjemność, że ten dar, tak serdecznie ofiarowany, dostał mu się przez nasze ręce.

Maryni P. w Włoczewie. Dziękujemy za wiadomienie, że wszystkie przesyłki szczęśliwie tą razą doszły na miejsce. Teraz wysyłamy znow zatracony Nr., chociaż zwykle takie dogodności robimy tylko dla tych, którzy wprost w naszej redakcyi pismo prenumerują; ale tak grzecznej prośbie odmówić niepodobna. Miło nam, że opowiadania historyczne, podawane w *Wieczorach*, tak się kochanym czytelnikom podobają, ale nie należy zbyt często gardzić opisami podróży w dalekich krajach; one są także użyteczne, bo zawierają różne wiadomości z geografii i historii naturalnej. Osoba, o którą zapytuje kochana korespondentka, nigdy na żadnej pensyi nie była, wychowywała się na wsi, bardzo daleko od Warszawy. Rubla dla biednej panienki oddaliśmy redakcyi Kroniki Rodzinnej.

Felusiowi P. w Włoczewie. Wawrzyniec Styk dziękuje serdecznie za pośrednictwem naszym miłemu chłopczykowi, który go obdarzył oszczędzonemi 50 kop. Na dobre uczynki każdy powinien dawać, co ma, a z drobnych datków składają się wielkie sumy. Ziarno do ziarnka a będzie miarką.

Ludce, Marylce, Józ i Jasiowi B. w Wojewódziskach. Za otrzymane rs. trzy dla ubogiej panienki i dwa dla młodego Styka, serdecznie w imieniu obdarzonych dziękujemy

Karusi Gr. w Józków-Rogu. A więc już teraz zgoda i przyjaźń zobowiązana zapewne nigdy pomiędzy nami się nie za-

chwieje. W tym roku nasze *Wieczory*, przy osobnym dodatku dla małych dzieci, o ile nam się zdaje, potrafią zadowolnić nawet dorastające panienki.

Władysiovi R. w Troickosawsku. Zawsze z wielką radością witamy znane pismo, które z tak daleka, od granicy Chin, przynosi nam wieści. Liścik, pomimo bólu palca, bardzo porządnie napisany i zagadka historyczna trafnie odgadnięta, a chociaż nie możemy już za to rozwiązanie udzielić nagrody, gdyż jest spóźnione, jednak sądzimy, że warto było je napisać dla własnego pożytku i w każdym razie przesyłamy pochwałę.

Manuli w St. Konst. Jeżeli wspominamy naszym kochanym czytelnikom drobne wady, od których nikt zupełnie wolny być nie może, czynimy to jedynie dla ich dobra. Nikt nie jest doskonały, a jednak wszyscy powinniśmy do doskonałości dążyć. Nic w tym dziwnego, ani nagannego, że w godzinach wolnych od nauk szuka się w czytaniu rozrywki; to też staramy się o ile możliwości dostarczać w piśmie naszym powiastek i zajmujących opowiadań.

Anisi Ł. Cieszymy się bardzo, że powiastka *Medalik* tak się podobała. W tym roku będzie w dodatku powieść z życia młodych panenek. Czytelnicy zapewne nie biorą nam za złe, jeśli obok rzeczy lżejszych podajemy i poważniejsze, tym bardziej, że i te staramy się przedstawić w sposób zajmujący.

Zosi G. w Kijowie. Rubla dla ubogiej panienki i 50 kop. dla Styka oddaliśmy do właściwych rąk i serdecznie w imieniu obdarzonych dziękujemy. Cieszymy się, że zeszłoroczne powiastki i opowiadania tak zajęły młodych czytelników; spodziewamy się, że i tegoroczne w niczem im nie ustąpią, gdyż ciż sami autorowie i autorki przyrzekli nam i nadal swoje współpracownictwo.

Waciovii Ł. na Żmudzi. Bardzo nam żal było, że na liścik tak starannie napisany nie mogliśmy żadnym sposobem wcześniej odpowiedzieć, ale w ostatnim N-rze pisma zabrakło nam miejsca i kilka odpowiedzi trzeba było odłożyć na później, za co serdecznie kochanych korespondentów przepraszamy. W N-rze tym konieczne musieliśmy pokończyć wszystkie powiastki, aby przybywający czytelnicy mieli dla siebie nowe od początku. Dziękujemy bardzo za liścik, jak na chłopczyka w tym wieku ślicznie napisany a na drugi odpowiemy prędko.

Pani L. Ł. na Żmudzi. Dziękujemy serdecznie za życziwe rady, do których z czasem postaramy się zastosować. Ale przypominamy przysłowie: Nie od razu Kraków zbudowany. Trzeba także i o tym wiedzieć, że wiele przedmiotów bardzo tanich zagranicą, u nas wypada daleko drożej, a wykonanie projektów Pani tak, aby z tego był pożytek, byłoby z wielu trudnościami połączone.

Kaziowi, Julci, Zosi i Mani. Cóż to za pociecha dla nas, że każda odeszła nasza do pocziwki seduszek naszych czytelników tak pięknie przynosi owoce. Hojną ofiarę 5 rs. złożyliśmy w redakcyi Kroniki, gdzie nam powiedziano, że maszynę panienka ta już kupiła i błogosławi codziennie wspaniałomyślnych ofiarodawców, którzy jej tak chętnie pośpieszyli z pomocą.